Nr. 10. Lwów, 15. maja 1902. Rok XXV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop. 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

1. Morawetz Stanisław.
2. Mugler J.
3. Smolarski Czesław.

Wystąpił z Towarzystwa:

1. Małobęcki Mieczysław.

Aklimatyzowane zwierzęta łowne.

Napisał St. M.

Ciąg dalszy.

Z kolei przechodzimy do zwierzyny czworonożnej mniejszej – jedynym więcej znanym przedstawicielem tego gatunku zwierzyny, o którego aklimatyzacyi wiadomo, jest:

Królik (*lepus cuniculus*), uważany jednak po największej części jako chwast między zwierzyną, szczególniej z tego względu, że ma on wypierać zająca i że mnoży się ponad miarę, ku wielkiej szkodzie gospodarstwa rolnego i lasowego.

Stanowi on jednak pewien powab dla myśliwego — przedstawia bowiem bardzo trudny strzał, (jest to czworonożny kszyk), powtóre daje sposobność zużywania całego mnóstwa nabojów nawet w tym czasie, kiedy do innej zwierzyny strzelać nie wolno.

W Niemczech, gdzie go w niektórych okolicach zaprowadzono, nie ma on czasu ochronnego, bo rozchodzi się tu raczej o powstrzymanie jego mnożenia się, a nie o opiekę nad rozwojem jego stanu. W Hiszpanii i Francyi, gdzie zając jest rzadszą zwierzyną, zastępuje on dla tamtejszych myśliwych zająca i tam opiekują się nim, poświęcając dla jego hodowli wiele trudu i pieniędzy. Ale i w Hiszpanii, która jest, jak się zdaje, ojczyzną królika, musiało ich być za wiele, skoro mieszkańcy jej

już za czasów cesarza Augusta zażądali pomocy legionów rzymskich przeciwko królikom, które stały się plagą tego kraju. Co się dzieje w Australii z przeniesionymi tam z Europy królikami, jest rzeczą powszechnie znaną — zniszczenia, jakie one sprawiają tam w płodach rolnych są tak wielkie, że ludność chwyta się wszelkich środków, aby plagę tę wyniszczyć. Urządzają tam obławy, które dają na rozkład po kilkadziesiąt tysięcy królików — a pomimo tego zaraz w kilka dni po obławie nie znać nawet, że tyle królików rzeczywiście ubyło.

Płodność tego stworzenia jest tak wielka, że jak obrachował naturalista Pennaut, jedna para w czterech latach może dostarczyć 1,248.000 królików. Rachunkowi temu trzeba wierzyć, żeby, jak powiada jeden z łowieckich pisarzy niemieckich, nie potrzeba go było sprawdzać. U nas w kraju tylko w dwóch miejscach w ostatnich latach hodowano króliki — w Przeworsku i Kutkorzu. W Kutkorzu skarżono się bardzo na szkody, jakie rozmnożone króliki czyniły w sadzonkach leśnych— w Przeworsku wyrażono zdanie, że klimat nasz dostatecznie się o to stara, aby króliki zanadto się nie rozmnożyły.

Padło w Galicyi królików — o ile daty statystyczne, które mamy do dyspozycyi, są dokładne:

W r.	1878	12	sztuk
„ „	1882	221	„
„ „	1884	49	„
„ „	1885	24	„
„ „	1890	12	„
„ „	1891	7	„
„ „	1892	65	„
„ „	1893	117	„
„ „	1894	8	„
„ „	1895	5	„
„ „	1896	4	„
„ „	1897	19	„
„ „	1898	7	„

Pomimo bardzo słusznego twierdzenia, że klimat nasz nie dopuściłby do tak znacznego rozmnożenia się królików, jak np. w południowych prowincyach Niemiec i we Francyi, nie radzilibyśmy nikomu robić prób z ich zaaklimatyzowaniem, gdyż wytępienie zupełne królików, w razie, gdyby się okazało, że ich dalej trzymać nie można, przedstawia zanadto wielkie trudności.

Nie od rzeczy jednak będzie zaznajomić się z życiem i obyczajami tego stworzenia, które mimo podobieństwa swego do zająca, przewyższa go o tyle sprytem i zręcznością w unikaniu grożących mu niebezpieczeństw.

Jest on znacznie mniejszy od zająca — długość jego ciała wynosi około 40—45 cm. — wysokość 16 do 18 cm. Samce są większe niż samice. Wyrośnięty zupełnie królik waży 2 do 2½ kg. Co do zewnętrznej budowy różni się od zająca tem, że ma słuchy stosunkowo znacznie krótsze, i że tylne skoki nie są także tak wysokie. Pomimo tego biega królik bardzo szybko, ale nie na długą metę — każdy zwinniejszy legawiec, który zastanie królika na wolnem polu o 100—150 metrów od nory, bierze go z łatwością. Wewnętrznych odmian nie ma żadnych. Maść królika jest mieszaniną koloru płowego, czarnego, szarego i rdzawego. Na całem ciele jest on pokryty gęstym, ciemnym puchem. Oczy ma ciemne, otoczone u młodych egzemplarzy białą, u starszych żółtą obwódką. Odmiany w maści są bardzo częste, tak, że nawet u dzikich królików spotyka się nierzadko całkiem białe, albo całkiem czarne okazy. Zmysły posiada bardzo ostre — wzrok, słuch i wiatr służą mu doskonale i one to przy wrodzonym sprycie, chronią go znacznie lepiej od niebezpieczeństw, niż jego pobratymca zająca. Królik żyje koloniami, w których panuje wielka zgoda i wzajemne przywiązanie, a zarazem wielki posłuch wobec najstarszego samca. Przy zbliżającem się niebezpieczeństwie daje ten, który je dostrzegł, znak swoim towarzyszom przez donośne tupnięcie tylnemi nóżkami, a na ten znak całe towarzystwo bezzwłocznie umyka do bezpiecznego schronienia, którem przedewszystkiem jest nora. Sposób zbudowania tej nory świadczy także o przemyślności królika. Nora taka składa się z licznych korytarzy i jest często bardzo obszerna i rozgałęziona. Im bardziej się kolonia zwiększa, tem większe następuje rozszerzanie nory — a jeżeli to już niemożliwe, wtedy zakładają króliki w najbliższem sąsiedztwie nową norę. Każdy korytarz kończy się komorą, którą zajmują samice, zajęte karmieniem, w korytarzach i pozostałych komorach mieszkają inni członkowie kolonii. Główny korytarz, który służy za wejście, ma wielki otwór — korytarze, które mają służyć do ucieczki, mają znacznie mniejsze otwory — wszystkie zaś, w miejscu, gdzie się schodzą z komórkami, są tak wąskie, że królik zaledwie się przez nie przesunąć może. Lis więc nie może królikowi w jamie żadnej krzywdy wyrządzić, nim bowiem zabierze się do rozkopania otworu, już mieszkańcy nory uciekli z niej i schronili się do innej. Nawet wysmukła kuna z trudnością tylko może się przedostać przez wąski otwór — mają więc króliki czas i przed tym groźnym nieprzyjacielem się ochronić. Tylko drapieżce z rodzaju łasic są bardzo dla królików niebezpieczne, bo bez trudu i cicho mogą się dostać do wnętrza nory i zejść niespodziewanie ich mieszkańców. Króliki lubią najwięcej grunt piaszczysty, bo w nim najłatwiej mogą sobie budować nory. Okolica taka, leżąca wśród uprawnych pól, przerżnięta płynącą wodą, urozmaicona krzakami, szczególniej sosnowymi zapustami i jałowcowymi krzewami odpowiada najlepiej królikom. Instynkt wskazuje im niebezpieczeństwo grożące im od podniesionego stanu wody — ale nie zawsze — spotyka się bowiem bardzo liczne kolonie królików w terenach inundacyjnych większych wód, gdzie co kilka lat cała kolonia ze szczętem prawie zostaje wyniszczoną.

Parkotnia trwa od miesiąca lutego do później jesieni. Królik, pomimo gorącego temperamentu, nie jest tak brutalnym jak zając, dla tego więc może samiczka zachowuje się wobec niego z kokieteryą i czyni mu kompromitujące awanse. Po czterech tygodniach przychodzą na świat młode, w liczbie sześciu do dziesięciu. Są one, jak wszystkie gryzonie, (z wyjątkiem zająca) przez kilka dni ślepe. Legowisko ściele sobie samica w komorze nory i wykłada je puchem, który sobie z podbrzusza wyrywa. Otwory do kurytarza zatyka samica ziemią — niewiadomo czy przed wrogiem, czy przed samcem, który zdaje się, żywi nieprzychylne ku swojej progeniturze w pierwszych dniach jej istnienia zamiary. Króliczka jest bardzo dobrą matką, karmi ona swoje młode dłużej niż zajęczyca, prawdopodobnie tak długo, aż nie

nadejdzie czas świeżego pomnożenia się rodziny króliczej — wtedy z wielką ostrożnością i troskliwością wyprowadza młode na żer. Po ośmiu miesiącach, w cieplejszych krajach nawet wcześniej, są młode króliki już zdolne do rozpłodu. Tem tłumaczy się fakt — dlaczego się króliki tak mnożą w tych okolicach, gdzie nie ma lisów, kun, tchórzów i innych dla nich niebezpiecznych drapieżców, albo gdzie znajdują się one tylko w małej ilości. Z nadejściem zmroku, w lecie trochę nawet wcześniej, opuszczają króliki nory i udają się na żer — wychodzą jednak tak ostrożnie, z taką uwagą oglądają się w koło i strzygą słuchami, że każdy najmniejszy ruch nie ujdzie im niepostrzeżenie. Najmniejszy ruch, najmniejszy szelest zapędza królika napowrót do nory, z której dopiero po dłuższej chwili wychylić się ośmiela.

Te same rośliny, które służą za żer zającowi, stanowią także pożywienie królika. Zjada on więc z chęcią zboże zielone i dojrzałe, trawę, rzepak, koniczynę, kapustę i buraki, które sobie do dość znacznej głębokości odkopuje. Lubi bardzo gałązki akacyi i szpilki jałowcowe, jak również owoce jałowcu. Zimę znosi łatwiej niż zając, bo umie się zawsze dokopać do gruntu przez wysokie nawet śniegi, oczywiście, jeżeli nie są one pokryte lodowatą skorupą, bo wtedy ginie z głodu, podobnie jak i zając.

Mięso z królika ma być dobrą potrawą, jeżeli jest odpowiednio przyprawione. Jego smak zbliża się do smaku cielęciny, a jak inni chcą, nawet do smaku kurcząt. Te króliki, które żyją w okolicy, obfitującej w jałowce, mają być o dużo smaczniejsze, niż inne. Z sierści robią się kapelusze i lekkie futerka.

Poluje się na króliki na kilka sposobów, a więc z nagonką, z psem, na zasiadkę, w końcu z łasiczką.

Polowanie z nagonką może się tylko udać w dzień bardzo pogodny, to znaczy wtedy, gdy królik wychodzi z nory i spoczywa pod krzakiem lub w gęstych trawach. Mioty muszą być bardzo krótkie, a strzelców ustawia się w ten sposób, że zwróceni są oni bokiem do miotu, a twarzą do linii i strzelają tylko do tej zwierzyny, która z jednej strony wychodzi. Królik przemyka jak cień przez linię lub drożynę i gdyby myśliwi byli ustawieni w sposób zwykły, przeszłoby wiele królików bez strzału. Rzecz oczywista, że oddalenie, w jakiem strzelcy od siebie powinni być ustawieni, nie może wynosić więcej niż 30 kroków — króliki bowiem wymykające bezpośrednio za plecami jednego z myśliwych musi strzelać sąsiad, że zaś zwierzątko to nie przedstawia wielkiego celu, a sunie jak strzała, dalsze strzały, byłyby za ryzykowne. W czasie śniegu i pogody polowanie na króliki może się bardzo udać, bo widzi się je na dalszą metę i można się przygotować do strzału.

Polowanie z psem może mieć widoki powodzenia także tylko w dnie pogodne. Króliki leżą zwykle niedaleko nory i wytrzymują dobrze przed psem — pies musi jednak być bardzo spokojny, bo gorący przeszkadza w strzale do królika, który w kilku susach zwykle znika już zupełnie z oczu myśliwego. Tam gdzie są urządzone króliczarnie, to jest ogrodzone tereny, w których króliki przebywają chętnie, a więc np. we Francyi, zamykają w nocy otwory w ogrodzeniach, przez które się króliki wydostały na sąsiednie pola. Na drugi dzień przeszukują te pola z psami i polowanie takie daje dobre wyniki, króliki bowiem nie mogą się schronić do nor i nawet chybione na nowo moga być odszukane, tem bardziej, że daleko nie odbiegają nigdy, nawet po strzale.

Zasiadka daje dobre rezultaty, ale myśliwy musi się bardzo spokojnie zachowywać, jeżeli chce strzelić do królika, wychodzącego z nory, jak już bowiem wyżej wspomnieliśmy, czyni on to bardzo ostrożnie. Po strzale dłuższy czas panuje zupełny spokój przy wszystkich norach — po chwili jednak ruchliwe stworzonko, pędzone do tego głodem, zaczyna się znowu u otworów jam pokazywać. Zasiadka ranna daje lepsze wyniki, bo króliki wracające z pól do nor są mniej ostrożne i jeżeli się dobre miejsca wybrało na stanowisko, można mieć sposobność do licznych strzałów.

Najważniejszym jednak i najwięcej używanym sposobem polowania na króliki, jest polowanie z łasiczką. Odbywa się ono podobnie, jak polowanie z jamnikiem na lisa. Łasiczka używana do tego sposobu polowania jest osobnym gatunkiem łasicowatych, (*mustela, foetorius furo*). Pochodzi ona z Afryki. Iberowie, zapoznawszy się w Berberyi z tą łasicą, jako największym nieprzyjacielem królików, sprowadzili ją jeszcze za czasów rzymskich do Hiszpanii i używali do tępienia niebezpiecznego dla płodów rolnych gryzonia.

Łasiczka ta nie ma, o ile nam wiadomo specyalnego nazwania polskiego — w Berberyi, gdzie do dziś dnia jeszcze w dzikości się znachodzi, nazywa się ona „nimse“. Niemcy nazywają ją „das Frettchen“, Francuzi „le furet“. Francuzi mają dwa gatunki tych łasic, białą „le furet blanc“ i „le furet putoisé“, czyli mieszańca z tchórzem. Pierwsza ma tę dogodność, że ze względu na swoją białą maść nie może być wziętą przez pomyłkę za królika, co się drugiej często zdarza, a przy pośpiechu, z jakim strzela się do wymykającego królika, tem kończy, że zamiast królika dostaje kilka śrótów łasica. Łasica ta ma razem z ogonem do 50 cm. długości, wysokość jej wynosi do 18 cm. Nie porusza się ona bardzo zgrabnie po powierzchni ziemi, do jamy jednak wślizguje się jak wąż. Zdaje się, że przedewszystkiem idzie za wiatrem, który ma bardzo ostry, co i z tego się okazuje, że nozdrza jej prawie ustawicznie są w ruchu.

Opiekę musi mieć łasiczka ta bardzo staranną — czystość podawanego jedzenia musi być nadzwyczajną, w przeciwnym bowiem razie pojawiają się niedyspozycye żołądkowe, które prawie zawsze kończą się jej śmiercią. Żywi się ją mlekiem i ośródką z bułki — czyni ją to łagodniejszą — niekiedy jednak daje jej się świeżo ubitego ptaszka lub wpuszcza mysz do klatki.

Jak wszystkie łasicowate posiada ona nienasycone pragnienie krwi i mordu i na tem polega sposób polowania, do którego jest używaną.

Przyniesioną w skrzyneczce lub torbie z odpowiednimi otworami łasiczkę, puszcza się do jednej z jam króliczych — nad jamą staje dwóch lub trzech strzelców, którzy na wszystkie strony dają pilne baczenie, za chwilę bowiem powstaje prawdziwy popłoch między królikami, w jamie się znajdującymi, które jak strzały wymykają z nor otworami do ucieczki przeznaczonymi. Strzał musi być bardzo szybki, bo zwykle o parę kroków znajduje się druga nora, do której króliki się chronią. Kiedy wszystkie króliki już z jamy wyskoczyły, pojawia się

i łasiczka, którą trzeba natychmiast ująć i wpuścić do drugiej jamy.

Nie zawsze jednak przebieg tego polowania jest taki wygodny. Jeżeli łasiczce udało się dopaść jakiego królika w jamie, wtedy rzuca mu się ona na szyję i dusi biedne zwierzę, które nawet bronić się nie usiłuje, bez miłosierdzia. Opita krwią, która na nią działa upajająco, zasypia natychmiast przy swojej zdobyczy i wtedy można całemi godzinami czekać na jej pojawienie się. Wtedy nie ma innej rady, jak zastawić ujścia nory siatkami i cierpliwie czatować, aż się łasiczka pojawi. Jeżeli pokaże się, że łasiczka zasnęła niedaleko ujścia nory, w takim razie przytwierdza się zabitego królika do odpowiednio długiego drążka i podsuwa się go jak najbliżej śpiącej łasicy. Budzi się ona wtedy i wpija się tak mocno w szyję królika, że ją można razem z nim wyciągnąć.

Aby uniknąć tych wszystkich niedogodności przywiązują łasiczce dzwoneczek, który straszy wcześnie króliki, tak, że nie pozwalają się łasiczce dosięgnąć. Tkwi jednak w tem niebezpieczeństwo dla samej łasicy, bo prześlizgując się w norze przez poplątane korzenie drzew, łatwo bardzo może się zaczepić o nie rzemykiem od dzwonka i wtedy ginie bez ratunku.

Lepszym podobno sposobem jest wyjęcie łasicy za młodu wszystkich kłów. Polowanie z łasicą odbywa się tylko w tym czasie, kiedy króliki nie mają młodych, a więc w zimie, w przeciwnym bowiem razie łasica zastałaby w norze młode króliczęta i sprawiwszy między nimi rzeź, zażywałaby snu, któremu zresztą przez większą część dnia i nocy z lubością się oddaje.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad opisem tego sposobu polowania, nieznanego u nas, sądząc prawdopodobnie słusznie, że zainteresuje on czytelników *„Łowca“*.

(C. d. n.)

O naszym białym bocianie.*)

„W księdze rodzaju czytamy, że: c a ł a z i e m i a j e d n a k i e m i a ł a u s t a... Snadź wtenczas człowiek, bliższym był przyrody, snadź pilniej uważał i badał jej żywe głosy“...**)

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dziś odsunął nas od tej przyrody naturalizm i ten kompletny brak poezyi i moralnych ideałów, i ten zwyczaj mierzenia wszystkiego miarą interesu i wagą złota. Nawet takie przedmioty, które otacza nimbus legendy i tradycyi starej jak świat i niepokalanej w swojej prostocie — skazujemy na potępienie, dla samego posądzenia, iż przynoszą nam one cień szkody.

Legendy i baśnie ludowe i gadki nie należą jedynie do literatury, belletrystyki i etnograficznych studyów i nie są przeznaczone jedynie do mierzenia poziomu inteligencyi danego ludu. Jest w nich podkład, nietylko z jego istoty umysłowej, ale i moralnej, z pierwiastków jego charakteru i instynktów przeciętnych, dobrych lub złych.

To też na podstawie owego tysiąca naiwnych opowieści, możemy wnioskować o życiu duchowem tych, których wyobraźnia je ulepiła — możemy, że się tak wyrażę, rękę na puls położyć i śledzić uderzenia serca i obiegu krwi w żyłach. Jedną z największych skarbnic legendowych jest — Słowiańszczyzna. Mamy w niej baśnie zastanawiające swą nieubłaganą logiką zła, mamy i apoteozy występków, jak n. p. baśń z Mazowsza o „K l i m k u z ł o d z i e j u“ — ale przeważnie odbija się w niej, jak w powierzchni źwierciadła, dusza słowiańska, prosta, poczciwa, ze silną dozą imaginacyi, fanatyczną wiarą w niezupełnie jasno sformułowane dogmaty i... kryształowo przejrzystą poezyą, zawsze utrzymaną na archaicznem, wschodniem tle.

Drogą porównań dojść można do spostrzeżenia, iż w tej naszej słowiańskiej, ludowej literaturze, znajduje się o wiele więcej nieświadomych siebie, szlachetnych porywów i takiej głębokiej, świeżo zachowanej religijności jeszcze z pierwszych er chrześcijanizmu — niż naprzykład w owych *„Es war einmal“* niemieckich, gdzie stoi nam zawsze przed oczyma ów posępny olbrzym, który z maczugą stróżuje nad orłami królestwa pruskiego.*)

Legendy i baśnie przechodzące z ust do ust, wytworzyły szereg przesądów, tak naiwnych jak ci, którzy w nie wierzyli, ale i z tych przesądów naszych chłopskich, wyciągniemy najczęściej pierwiastki owej mieszaniny dobroci, rycerskości, poezyi i prostoty, z której się składa słowiańska natura.

Jest silna wiara w podaniu, iż szmata pochodząca z bielizny chorego, a przywiązana do krzyża, choremu temu, swemu właścicielowi zdrowie wróci i dużo jest wdzięku w gadce, iż jaskółki zimują w wodzie pod lodem, za karę, iż tępią pszczołę pracowitą i użyteczną.

Czy nie jest łatwo sięgnąć po źródło owych zabobonów, tyczących się gniazd jaskółczych n. p. i bocianich, skowrończych? Czy nie jest zupełnie jasnem, iż podkładem tych przesądów była wdzięczność — dla skowronków za ich pierwszą pieśń wiosenną — dla bocianów i jaskółek za ich ufność i wiarę w ludzi? A więc bądź co bądź uczucie szlachetne i dobre?

Chłop nasz tak umiłował te stworzenia, iż pojąć nie mógł prostaczym swym mózgiem fizycznej konieczności odlotu tychże. O jaskółkach prawili dzieciom starzy, że zimują pod wodą; o skowronku że pod kamieniem,

*) Czytelnicy nasi zrozumieją, że artykuł ten umieszczamy, hołdując zasadzie, na podstawie której i druga strona powinna być wysłuchaną, tem bardziej, że bocian wybrał sobie tak sympatycznego adwokata. Szanowną autorkę pocieszamy, że nasz świat łowiecki liczy się jeszcze bardzo z tradycyą — w przeciwnym razie bocian, wyrokiem myśliwych stanowczo potępiony, nie byłby takiem częstem zjawiskiem wśród naszych pól. Można się sprzeczać co do tego, w jakim stosunku stoją szkody przez bociana zdziałane do pożytku, jaki on przynosi ale stanowczo nie można mówić o tych szkodach, że są one iluzoryczne. *Redakcya.*

**) Dr. J. Rościszewski: „Z dziedziny nauk przyrodniczych“.

*) W herbie państwowym, pruskim, po obu stronach tarczy, stoją dwie postacie z maczugami.

a o bocianie mówili, że opuszcza wieś na zimę, bo gdy go Pan Bóg stworzył, a on przy pierwszym mrozie zaszedł do chłopa z prośbą o miejsce w komorze — zły człowiek odmówił gościny i dlatego bocian odlatuje z żalem i goryczą.

Drudzy mówili, że bocian leci słońca szukać dla swojej ziemi i po chłodnych kilku miesiącach eksploatowania firmamentu, przynosi je i zawiesza w dzień św. Józefa tuż nad ludzkiemi głowami, aby im i ich polom ciepło było — a nikt nie wierzył, iż ptak ten, towarzysz doli, na niedolę ziemię własną opuszcza. Stąd powstały setki legend, piosnek i baśni.

Gniazdo bocianie było we wsi bronią przeciw gradowi i piorunom. Za dobrą wróżbę poczytywał sobie ten, który pierwszy na wiosnę bociana w locie ujrzał. Gdy na Mazowszu czerskiem w r. 1885 spadły ulewne deszcze i zniszczyły zasiewy — przypisano to chłopu pewnemu, który wbrew całemu poszanowaniu i czci dla bociana, jaką lud żywi — zabił jednego dobrowolnie czy przypadkowo.

I tę cześć usankcyonowały lata i dały jej moc tradycyi i prawa zabobonu i dziś chłop jest dumny, gdy na dachu jego towarzyski ptak uścieli sobie gniazdo.

Aby zwabić bociana, ojcowie nasi kładli nieraz koła na budynki i chrust i przynętę, w której skuteczność głęboko wierzyli, mianowicie: kawałek lustra i pieniądz — i było coś wzruszającego w tej troskliwości, jaką człowiek płacił zwierzęciu za jego ufność i wierność dla gniazda i rodzinnej wsi.

Cywilizacya jednak wygania szybko z serc ludzkich przesądy i zabobony, wyciera z pożółkłych kart legendy i baśnie i każe milczeć tradycyi. Jak letnia burza minęła epoka romantyczna. Przyszły czasy nieubłaganej logiki i konsekwencyi, trzeźwy system statystycznych i matematycznych wywodów — czasy zasad praktycznych, zgalwanizowanych jedynie tępym dźwiękiem złota.

Gdzie się podziały czasy ideałów? czasy poezyi? czasy legend jak sen cudnych i jak sen widocznie rozwiewnych?

Czy rzeczywiście nic po nich nie pozostało, nawet szacunek dla ich sędziwego wieku i dla tych czystych uczuć, które im były podwaliną?

Czy rzeczywiście nic nie wstrzymuje ich zagłady, ani pamięć lat minionych i świetnych, ani ów głos, który przez nie mówił, że naród nasz miał duszę jasną i prostą jak dusza dziecka, bez porównania wyżej stojącą od germańskiego intelektualnego świata — pomimo jego kultury i nadmiernego rozwoju. Dla małych, po bliższej analizie, nawet fikcyjnych korzyści, czy wykreślimy raz na zawsze z pamięci naszej, to co nas jedynie wiązało jeszcze z przeszłością daleką i niepowrotną, mianowicie: pewien kult dla niej i dla jej zabytków.

Są naturalnie, w dziedzinie zabobonów rzeczy, które prosty rozsądek odrzucić każe, jak dajmy na to tradycyjna nietykalność pożaru przez piorun wznieconego — nietykalność jednak naszego białego bociana naprzykład, czy nie mogłaby być uszanowaną, jeżli już nie dla tej ufności, z jaką pośród ludzi przybywa w gościnę, dla tej jego wiary, iż ludzie nie uczynią nic złego jemu, ani gniazdom, ani pisklętom jego — to przynajmniej dla tej spuścizny po ojcach naszych, dla tej wiązki serdecznych podań, które nam długo mówić będą, że dusza polska była może i lekkomyślną i pyszną i zupełnie pozbawioną zmysłu organizacyjnego i tego wszystkiego co trzyma całość państwa — ale że była prawą i bezinteresowną i że kochała się... w ideałach?

Tem, czem był ibis dla Egipcyan, żóraw dla Mongołów, był u nas bocian, w mniejszym stopniu wprawdzie, choć w swojej nietykalności stał na równi, a w pieśniach i legendach więcej był nawet opiewany ten biały pielgrzym i biały gość naszych zagród.

Skąd gruchnęła wiadomość, że szkody, jakie bocian czyni, powinny go postawić w rzędzie drapieżników, skazanych na wytępienie? Skąd wydano nań nagle wyrok śmierci nieodwołalny, bez apelacyi, przyjęty tyloma oklaskami?

Mnie się zdaje, że i te objawy zaliczyć można do rezultatów chęci naśladowania wszystkiego, co niemiecką etykietę nosi, od pikelhaub żandarmeryi począwszy, a skończywszy na usunięciu dzwonków sygnalizujących na dworcach kolejowych przyjazdy i odjazdy pociągów. Bo przemysł ten nosi w każdym razie piętno tej ostrożności i podejrzliwości, z jaką prusak staje przed każdem zjawiskiem i pyta: „czyś szkodliwy mnie i mojej rodzinie? w jakimkolwiek bądź stopniu i w jakimkolwiek kierunku?“...

Jeden z najwybitniejszych naszych ornitologów, Władysław Taczanowski, kustosz gabinetu zoologicznego przy uniwersytecie Warszawskim, wyraża się o bocianie: u nas był dotąd ptakiem niemal świętym, w tych czasach dopiero zaczęto go uważać za szkodliwego i prześladować za wyjadanie drobnej zwierzyny, ryb, jaj ptasich i małego drobiu. Porównawszy jednak usługi, jakie wyświadcza przez tępienie myszy, wężów jadowitych, robactwa szkodliwego i żab dla zarybku niebezpiecznych z mało znaczącemi, wyżej wymienionymi szkodami, strona użyteczności znakomicie przeważy“. Zresztą dość jest przypatrzyć się budowie bociana, liniom prostym jego dzióba, które absolutnie wykluczają u niego pokrewieństwo najmniejsze z drapieżnikami.

Co do ambicyi myśliwskich, te również nie mają tu pola, gdyż ubicie bociana, zrywającego się do lotu wolno, na kilka kroków odległości od człowieka chyba tryumfu nie przynosi żadnego, ani zadowolenia miłości własnej?

Więc dlaczegoż nie moglibyśmy darować życia towarzyskiemu ptakowi i pozwolić mu słać gniazda — jak dawniej — na budynkach naszych? I klekotać spokojnie, nad naszemi głowami?

Czyż na zainaugurowanie tej krucyaty bocianiej tak wiele znalazło się nowych argumentów, a na odrzucenie jej tak mało starych, może trochę dziecinnych, ale rzewnych wspomnień i *lâchons le mot* — niewinnych zabobonów?

Ma W.

Korespondencye.

Czerce, w kwietniu 1902.

W czasie od 1go marca 1901 do 28go lutego 1902 ubito w majątku Wiązownicko-Pełkińskim, w powiecie jarosławskim, zwierzyny pożytecznej:

Rogaczy 24, zajęcy 314, kuropatw 394, przepiórek 270, chruścieli 72, gołębi 6, dubeltów 5, kszyków 15, kaczek 18, kur wodnych 2, słonek 9, różnej 3 — razem 1132 sztuk.

Zwierzyny szkodliwej:

Dzików 11, lisów 117, borsuków 5, psów 132, kotów 207, kun 4, tchórzów 7, łasic 1, jastrzębi 167, krukowatych 729, różnej 1 — razem 1381 sztuk.

K. Mugler
nadleśniczy.

Niemirów, w kwietniu 1902.

Zaczynam od pogody. Wogóle jest to temat niezbyt wartościowy przy konwersacyach pod dachem prowadzonych, ale tam gdzie się wspomina godziny na świeżem powietrzu spędzone, warto przecież obdarzyć choć słówkiem nieodstępnych towarzyszy, to jest chmury i słońce, dających wybitne zabarwienie humorom myśliwskim. A towarzysze ci bardzo równomiernie obdarzali mnie swymi względami, tak że ryczałtowo mogę im wyrazić swe uznanie i wdzięczność za miłą kompanię. Do Nowego Roku, we wszystkich polowaniach najfatalniejsza aura, deszcze, śniegi, zawieruchy, które z pewnymi tylko modulacyami, to rano, to po śniadaniu, to pierwszego lub drugiego dnia, ale niechybnie, pastwiły się nad moją zewnętrzną szatą i do pewnego stopnia nad wewnętrznem usposobieniem. Pierwsza przemakała do nitki, protestując gwałtownie przeciw wszelkiemu pokrewieństwu ze suchym rybakiem, drugie zaś ratowało się jedynie tylko w miarę skutecznego flirtu z nadobną Sylwanką, która przy każdej pogodzie umie jednak, gdy zechce, czarować uśmiechem. Zaczęło się tak zatem u pana Z. Obertyńskiego. Mimo bardzo niesprzyjających warunków i to z początkiem listopada, gdy jeszcze zwierza dużo w polu, zajęcie było ciągłe i uwaga na wszystkie strony naprężona, a śliczna to iście kniejka, przy wzorowem prowadzeniu dała na rozkład jednodniowy, po 150 strzałach: kozłów 6, lisów 4, zajęcy 30, bażantów 3, kuropatwy 2, sowy 4. *Idem* wUlicku w połowie grudnia. Z początku piękny obrus śniegu z wielu deseniami, na drugi dzień... popyt na parasole. A jednak gospodarz, p. A. Skibniewski, w miocie, w którym nam już deszcz najwięcej dokuczał, chwycił się ostatecznego środka i dla podtrzymania animuszu, dzika nam zwabił, a ten posłuszny swemu żerodawcy, z heroicznym spokojem z tylnego miotu przedarł się przez linię myśliwych, dopiero co rozstawionych, ale na flance kres znalazł czarnego żywota. Tak ten epizod wśród mroków wieczoru i mgieł leśnych fantastycznie nas usposobił, że powstała zaraz legenda o widzianym jakoby wilku; co do mnie jednak przypuszczam, że to raczej leśne Rusałki, bawiąc się oparami nad strumieniem, majaki jakoweś myśliwym przesuwały przed oczy — a notuję ten fakt jedynie dlatego, że miot ów dostarczył nam dużo tematów do gawęd wieczornych. Wcale zaś niezłudny rezultat był: dzik 1, kozłów 4, lisów 6, zajęcy 56 na 180 strzałów. Brzydkie chmury wreszcie zasłoniły mi malownicze widoki, gdy stałem na romantycznych ściankach nad Bystrzycą, w kniei Jezupola; to też łatwiej, nad te krajobrazy, opisać mi duże siwe zające, które przemykały bajecznie przez wąskie linijki, wywołując liczne smugi dymu — tłuste kozły, o których zgonie wyrokował węzełek, (osobiste wspomnienie), wreszcie serdeczną gościnność Władysława hr. Dzieduszyckiego, podejmującego poraz pierwszy w nowych progach Jezupola myśliwską drużynę. Kozły 4, lisy 2, zajęcy 61 liczono na zozkładzie (strzałów 190). Króla nie wymienię, ale przemilczeć nie mogę, że istnym bohaterem tych dwóch dni, był jeden ze skrzydłowych myśliwych, we wielkiej baraniej czapce, uzbrojony w prastarą kabzlówkę; jego pewne oko i niechybność broni, mimo pozornych wykroczeń przeciw bezpieczeństwu sąsiadów — były przedmiotem wielu wesołych opowiadań.

Od Nowego Roku natomiast lepsza zaczęła się era dla przemokniętych kożuszków. Ładne, spokojne przymrozki, apetyczne ponowy, jasne słońce, nie opuściły nas już ani razu. W Sałaszach p. Kapliński z góry zapowiedział, że ani jedna dama nie przybędzie do lasu, (nie może mi darować zeszłorocznych bajek o jego polowaniu). Wprawdzie przez dzień się nie próżnowało i dzik 1, kozły 4, zajęcy 18 wieźliśmy do domu; ale zato wieczorem brakło nam uroczych sąsiadek — nie było więc tanów i powiewnej rozmowy — choć pozatem gościnność szanownego gospodarza jest wprost niezrównana.

Na spółkowem polowaniu w Wierzbianach, w styczniu, ubiliśmy: kozłów 9, lisów 5, cietrzewi 2, kuny 2, zajęcy 35 i psów 2 (te ostatnie padły od celnych strzałów z ekspresa panów C. i H. na 140 kroków). Wreszcie uczestniczyłem w kilku dziczych miotach w Krakowcu i szczęście moje, że nie miałem spotkania, bo tamtejsze czarnoryje są ogromnie napastliwe — a choćby wicegospodarz miał wziąć za szczerą prawdę, co tu wyrzekłem i tak mię w przyszłości ustawiać, bym mógł spokojnie przez miot cały papierosy palić — zawsze jednak powtórzę, że chwile ubiegłego sezonu spędzone czy to na tych dziczych stanowiskach, czy też i na innych mniej poważnych jak najlepiej mi się zapisały w pamięci i pragnę, aby te przeróżne zaznaczone tu tylko epizody, w łaskawych czytelnikach a współtowarzyszach moich, wywołać mogły oddźwięk owych nieocenionych wesołych nastrojów polowań.

Prawda, mam jeszcze nadzwyczajne spotkanie z niedźwiedziem i życiem w głębi borów Litwy — ale to już do następnej okazyi odłożę.

Krusenstern.

Lwów, d. 15. maja 1902.

W numerze „*Łowca*“ z 1. maja umieścił p. M. R. apostrofę do mnie, z wyrażeniem zdziwienia, że podniosłem zarzut propagowania w „*Łowcu*“ pruskich wynalazków co do kul, prochu, ładunków i. t. p. W odpowiedzi mej, którą Szan. Redakcya „*Łowca*“ raczyła w niniejszym numerze umieścić, wyjaśniam po części powody podniesionego zarzutu, który już odniósł skutek, bo p. M. R. wyraził przekonanie: „że broń sporzą-

dzona przez naszych rusznikarzy jest solidniejszą od fabrycznych wyrobów niemieckich“. Łaska to nie lada dla naszego biednego przemysłu ze strony p. M. R., który niedawno jeszcze, pisząc o repetierowych pistoletach, odsyłał myśliwych naszych do firmy obcej Schailera, chociaż taką broń można dostać także we Lwowie u Dzikowskiego i Jankowskiego, co sama Redakcya, niestety tylko w adnotacyi, zaznaczyła. Podnosząc ten zwrot w opinii p. M. R. na korzyść naszych rusznikarzy, nie mogę jednak poprzestać na tem, iż broń nasza jest solidniejszą od fabrycznych wyrobów niemieckich. Daruje mi p. M. R., ale to dla naszych rusznikarzy za mało. Ja śmiem twierdzić, iż nietylko fabryczne graty, ale broń ręcznej roboty zagraniczna, zupełnie może być co do solidności, dobrego smaku i pewności strzałów porównaną z wyrobami naszych warsztatow. Doświadczyłem tego i doświadczam na własnych kilkunastu strzelbach różnych systemów, między któremi są wyroby warsztatów naszych (Molnara, Tabaczkowskiego), angielskich, francuskich, austryackich i czeskich, (tylko nie pruskich). Sądzę też, że każda moją strzelba strzelać będzie bezdymnym prochem bez niebezpieczeństwa, chociaż artykuły p. M. R. zupełnie mnie ani do prochu bezdymnego, ani do kul Brennecke'go, Witzlebena i t. p. nie przekonały. Co więcej, wątpię, czy doświadczonego myśliwego w ogóle jakiekolwiek próby i eksperymenty, choćby z pięcioma strzelbami, przekonać potrafią, pod względem bowiem wyboru systemu broni, ładunków, prochu i t. p. każdy wytrawny myśliwy ma własne niezbite upodobania i przekonania. Dlatego też śmiem twierdzić, że, pomijając już kosmopolityzm w artykułach p. M. R., nie mają one dla myśliwego pożytku i pouczyćby mogły prędzej zawodowych rusznikarzy. Wiem, że narażam się przez to twierdzenie na zarzut, iż nie jestem inteligentnym myśliwym, bo p. M. R. twierdzi bez apelacyi, „że te sprawy każdego inteligentnego myśliwego powinne obchodzić“, a mnie one nie obchodzą; ale przyjmę już ten zarzut, jakkolwiek podczas 24 lat polowania z rozmaitej i rozlicznej broni powinienbym sobie wyrobić w tym zawodzie pewien stopień inteligencyi. Wracając do wywodów ostatniego artykułu p. M. R. o molekułach śmiem zauważyć, że między memi strzelbami są trzy: dwie francuskie (sławnej ongi firmy Aumont'a w Paryżu) i jedna starego Nowotnego. Pierwsze strzelają już z 50 lat (jedna z nich lat kilkanaście już jako lankastrówka, przerobiona w warsztacie Szadkowskiego) a druga od r. 1867 czy 1868, i jestem przekonany, że synowie moi z nich jeszcze strzelać będą (może nawet bez dymu) i bez rozluźnienia się w nich molekułów. Nadużyłem może trochę cierpliwości Szan. Redakcyi i napisałem szczerze i otwarcie moje przekonanie, zastrzegam się jednak gorąco, bym nie uznawał i nie podziwiał mozolnej pracy szan. p. M. R. i jego dobrych chęci w zaznajamianiu polskiego świata myśliwskiego z temi niemieckiemi doświadczeniami i badaniami. Mimo tego twierdzę, że nasz „*Łowiec*“ ma do poruszenia i obrobienia tyle ważniejszych spraw, tyczących się krajowego łowiectwa i rodzimego przemysłu, obchodzących żywo ogół nawet mniej inteligentnych myśliwych, iż tym sprawom należałoby dać pierwszeństwo. Przyzna mi bowiem każdy, że trzeba naprzód za przykładem zagranicy wychować sobie mnogość zwierzyny a potem dopiero doświadczać, badać i troszczyć się, aby żadna zwierzyna wskutek odrobiny dymu z pod lufy nie mogła uciec z życiem.*)

L. G. Dziubiński.

Okno, kwiecień 1902.

Niezwykłe polowanie.

Co roku na wiosnę zjawiają się na tutejszym stawie wydry. Opowiada mi mielnik, lub kto z przechodzących, że widział wydrę łażącą po trzcinach lub wyskakującą z wypruchniałej wierzby, lecz zwykle na tem się kończy — trzciny podrosną, więc i wydry więcej nikt nie widzi.

Odkąd chodzę ze strzelbą do tego roku zabiłem ośm wyder, przy pomocy wyżła, który staje do siedzącej wydry w wierzbie, jak do zająca, wtedy strzelam do dziupła, zwykle z pomyślnym rezultatem.

Wydra postrzelona zanurza się w wodę, lecz po krótkim czasie wychodzi na brzeg i leży przyczajona, dając się podejść na kilka kroków, nigdy nie ginie w wodzie, tak że jeżli jest postrzeloną, a zaraz się jej nie odszuka, to można być pewnym, że dnia następnego znajdzie się nieżywą na brzegu.

Wiosna obecna była mniej sprzyjającą dla wyder, z tego powodu, że w jesieni w r. 1901, gdy staw zamarzł, kazałem przy niskim stanie wody wyciąć trzciny przy samym lodzie, tak, że obecnie cały staw jest czysty i tylko gdzieniegdzie wystają kępinki po nad wodę.

Dnia 3go b. m. wyszedł p. S. nad staw z Piperem, zaraz za ogrodem obaczył na kępce coś ciemnego, nie będąc pewnym, co to być może, bo odległość była znaczną (180 kroków), strzelił w ten przedmiot, po strzale poznał, że to wydra, która do wody wskoczyła, a została postrzelona, gdyż wnet odszukał ją na przeciwnym brzegu.

Dnia 13go b. m. wyszliśmy z p. S. do ogrodu strzelać gawrony, które gnieżdżą się na drzewach nieznośnie hałasując. W tem do wierzby stanął wyżeł, domyśliliśmy się, że musi być tam wydra. Posłałem po ludzi i rydle, zatkaliśmy dziupło od strony, i w krótkim czasie dokopano się do wydry, której strzałem w głowę skróciłem żywot.

Dnia 19go b. m. św. Hubert był najbardziej łaskaw. Około godziny 5tej popołudniu wyszliśmy z p. S. ze strzelbami nad staw, za ogrodem już, widzimy na kępinie coś ciemnego wystającego, zbliżamy się ostrożnie na jakie 80 kroków, poznajemy, że to wydra, strzelam bez namysłu, lecz jakie moje zdziwienie, gdy po strzale jedna wydra na prawo, druga na lewo rzuciły się do wody.

Poznałem, że obie wydry są postrzelone, bo kilka razy z wody się pokazały, wyżeł poszedł za niemi, jedną zaraz wyniósł — drugą po godzinie poszukiwania odnaleźliśmy na brzegu.

---

*) Uważamy za zbyteczne bronić p. M. R. przed wystąpieniem p. Dziubińskiego, wyrażamy tylko nadzieję, że p. M. R. nie da się zrazić temi wystąpieniami i raczy o „*Łowcu*“ także nadal pamiętać.

Redakcya.

Dwie wydry na jeden strzał! to chyba mało kto się pochwali takiem szczęściem.

Jedna rzecz mnie dziwi, a to, że wszystkie cztery wydry zabite w kwietniu są samce. Czy by to miał być czas godów weselnych? czy też wędrują? prosiłbym o wyjaśnienie którego z kolegów myśliwych.

L. C.

Uhrynów.

Przeczytawszy w Nrze 9tym „*Łowca*“ artykuł „Na ciągu“, pospieszam na dwa z postawionych tamże pytań z odpowiedzią:

1) Na pytanie, czy słonka siada na drzewach?

2) W jaki sposób żeruje?

Na pierwsze pytanie odpowiem faktem, jaki mi się zdarzył. Było to w r. 1896. W drugiej połowie września wybrałem się na kuropatwy. Przechodząc szeroką drogę między lasami, spostrzegłem nagle na okrajku lasu, siedzącego ptaka na gałęzi brzozowej 4—5 metrów nad ziemią. Przypatrzywszy się lepiej spostrzegłem długi dziób. Nie namyślając się dłużej strzeliłem i spadła najoczywistsza, najprawdziwsza słonka, tłusta i dobrze oblana — więc całkiem zdrowa i normalna.

Faktu tego nie podałem zaraz, bo jeszcze do „*Łowca*“ nie należałem wtedy, dziś, zwłaszcza, gdy postawione przez p. R. pytanie na myśl mi go nasunęło, dzielę się tą wiadomością z towarzyszami, ciekawie dalszych w tym względzie spostrzeżeń wyczekując.

Co do żerowania słonki podaję, co następuje:

Zeszłej jesieni w połowie października daje mi łowczy znać o otropionych dzikach. Gajowi weszli w miot, ja stanąłem na przesmyku i — czekam. Po chwili słyszę szmer i widzę zamiast dzika — słonkę. Podbiegłszy na jakie 10 kroków zaczęła spokojnie całkiem żerować; a to, dzióbem przebijając liście, przewracała je na odwrót i pod nimi szukała robaków. Stojąc zakryty i cicho, dokładnie i całkiem spokojnie jej się przyglądałem. Nadchodzący gajowy spłoszył tajemniczego ptaka i — nadzieję odyńców.

Te dwa powyższe fakta podaję. Sądzę, że mogą one się przydać w studyowaniu natury i obyczajów tego, tak uroczego i do dzisiaj tajemniczego długodzióba. A spodziewam się, że i po zdarciu z niego zasłony na uroku nie straci i tak z wiosną, jak z jesienią mile i życzliwie będzie witany.

Dodaję, że w naszej okolicy sokalskiej ciąg w tym roku nie był świetny, o ile sam tej wiosny nie polując z relacyj dowiedziałem się.

E. R.

Uszew, 8. maja 1902.

Przeczytawszy ostatni Nr. „*Łowca*“, jak to powiadają, od deski do deski, pospieszam podzielić się wrażeniami, jakie odniosłem.

Na samym wstępie porusza on kwestyą bardzo żywotną, wezwanie delegatów o zorganizowanie kół Towarzystwa łowieckiego, celem przygotowania akcyi za zmianą ustawy łowieckiej i porusza to bardzo słusznie, gdyż zmiana ustawy, rzecz to niesłychanej wagi dla całej przyszłości naszego zwierzostanu, który wogóle wcale nie najgorzej obecnie się prezentuje. Największy nawet pessymista przyznać chyba musi, że zwierzostan w ostatnich kilku latach w Galicyi się podniósł.

Następnie jest wiersz bardzo ładny „Kukułeczka zakukała“ L. hr. Starzeńskiego, który równie jest udany, jak wszystkie utwory czy prozą, czy wierszem, które wychodzą z pod pióra szanownego naszego Nestora.

Artykuł p. M. R. o prochu bezdymnym i t. d. jest bardzo pożądany i na czasie, wdzięczni mu być chyba powinniśmy wszyscy, że zasila „*Łowca*“ wiadomościami, tak ważnemi dla myśliwego, o których wogóle mało kto pisze. Zarzut p. Dziubińskiego na tle patryotyzmu, zupełnie jest nieudany, zresztą p. M. R. doskonale go odpiera, tak, że co najwyżej przyklasnąć mu jeszcze można.

Ustęp „Na ciągu“, młodego myśliwego, zasługuje na pochwałę, kwestye poruszane nie wszystkie są wyczerpane, co do niektórych zaś zdania podzielone, może więc obudzą zainteresowanie ogólne i przyczynią się tem do wyjaśnienia rzeczy zagadkowych. (Redakcya „*Łowca*“ przyjęła pisownię słonki przez n, a więc „słonka“ jest apodyktycznie i wszędzie. Jest to jednak niesłuszne, a to z tego powodu, że „słonka“ używana jest tylko we wschodniej Galicyi i to od roku 1886, na propozycyę K. hr. Wodzickiego. Dawniej było tylko słomka, a większa część Polski używa „słomka“, dlatego „*Łowiec*“, jako pismo polskie a nie wschodnio-galicyjskie, powinno obie pisownie tolerować, i kto nadeśle „słomka“, drukować przez m, kto zaś „słonka“ przez n, w ten sposób będzie wilk syty i koza cała).

Wracając do Nr. 9. znajduje się w dalszym ciągu w korespondencyach, prócz ciekawej historyi zachowania się sowy i niezwykle ciekawego opisu ataku na niedźwiedzicę, kończącego się odebraniem jej piastunów, opinia p. Zalasińskiego co do pozdrowienia „św. Hubertowi“.

Po artykule p. Łysakowskiego w poprzednim numerze, któremu pozdrowienie to nie podoba się, bo za uroczyste, niewesołe i zadługie i który w opinii tej, między innemi, znajduje odrębny charakter w łowiectwie polskiem, dalej zaś pyta, w jakim celu pozdrawiać mamy w ten sposób, muszę odpowiedzieć choć w kilku słowach.

Wiadomo to chyba każdemu, że obecne sposoby polowania na wszelką prawie zwierzynę, na całym świecie, są prawie jednakowe, z tego powodu łowiectwo polskie, obecnie niczem odróżniać się nie może, gdzież więc szukać tego charakteru odrębnego? Po co zaś mamy używać „św. Hubertowi,“ to, po pierwsze, aby wyparło w pierwszej linii „*Weidmannsheil*,“ powtóre, abyśmy mieli własne nasze pozdrowienie myśliwskie, a po trzecie, że jest ono rzeczywiście często nawet potrzebne. A teraz kilka przykładów. Przypuśćmy, że zjeżdzamy się na polowanie do sąsiada wczesnym rankiem. Przed wyjazdem do lasu, panie obecne, lub gospodyni domu żegna się z nami, wtedy milej chyba po stokroć będzie nam usłyszeć „św. Hubertowi“, aniżeli „*Weidmannsheil*“ albo co prawie gorzej, jedno z następujących pożegnań: „Niech panowie tam dużo zabiją“, „dobrego polowania“, „szczęśliwych łowów“, świetnego spotkania“, “Szczęść Boże“ i t. p. jak komu dogodniej, według słów pana Zalasińskiego.

Spotykamy w wagonie znajomego, który jedzie na polowanie, przy pożegnaniu, polecamy go „św. Hubertowi“; przecież chyba doprawdy milej mu będzie, aniżeli życzenie szczęścia lub coś w tym rodzaju. Jeżeli polujemy z nagonką w zimie, to pewno, że nie będziemy się polecać patronowi naszemu przed i po każdym miocie, za to polując na jelenie na rykowisku, lub na tokach rozchodząc się do rewirów, bardzo będzie trafnie, polecić się św. Hubertowi, a w każdym razie lepiej to, niż życzyć cokolwiek.

Nieraz zdarza się, że niektórzy chcąc uniknąć życzenia szczęścia, życzą wprost nieszczęścia, czynią to jednak tylko pozornie, przecież chodzi o to, aby polowanie się udało i żadnego wypadku nie było, będąc zaś poleconymi naszemu patronowi, jesteśmy poleceni najlepszej opiece. Dalsze zaś wnioski i domysły p. Ł. są mylne i naciągnięte, przecież życzeniem „św. Hubertowi“ nie życzymy sobie szczęścia, albo dbamy tylko troskliwie o zdrowie towarzyszy a w duchu inne mamy myśli i t. p. Pozdrowienie to jest trochę długie, to prawda, ale w obec tego, że jest to tylko rzecz przyzwyczajenia i niewielka fatyga dla języka, więc i ten skrupuł upaść powinien. Są ludzie, którzy inaczej się na to zapatrują, n. p. p. Stefan Ostrowski w swojej opinii bardzo pochlebnie się o „św. Hubertowi“ wyraża. P. Zalasiński zaś w ostatnim numerze, wprost zamyka dyskusyę po wspomnianym artykule p. Ł. Pozdrowienie zaś samo brzmi mu jakąś bardzo fałszywą nutą! daje wiele do myślenia! i (*risum teneatis*) robi wrażenie, że chyba już żywy nie wróci z polowania!! Sądzę, że zamknięcie dyskusyi, nastąpić może po odezwaniu się którego z Nestorów naszego łowiectwa a cała drużyna chyba nie zadowolni się zamykaniem jej tak stanowczem przez p. Zalasińskiego.

Na zakończenie Nr. 9 umieszczony jest przedruk ostrego artykułu p. Dziubińskiego, skierowanego do Redakcyi „*Łowca*“ i trafna, choć bardzo oględna odpowiedź tejże na zarzuty uczynione. Szanowna Redakcya jednej kwestyi jednakże nie poruszyła. P. D. utrzymuje, że każda poezya i wszelka proza z dawniejszych roczników „*Łowca*“ mogłaby być ozdobą każdego literackiego organu. Cóż Redakcya temu winna, że autorowie ci, znakomici, niestety, powymierali, obecni zaś nie mają tego daru, co tamci i piszą, jak umieją. Wszak „*Łowiec*“ nie posiada funduszów, aby utrzymywać korespondentów, najprzedniejszych literatów — wspierany utworami swoich członków, którzy zarazem są korespondentami, od nich zależy. Czem chata bogata, tem rada. Nie ulega wątpliwości, że milej jest czytać rzecz ładnie napisaną, niż gorzej, w „*Łowcu*“ jednak szata literacka na dalszym jest planie, bo dyletanci jesteśmy wszyscy i jak umiemy, tak piszemy a chodzi nam przedewszystkiem o treść.

Krytyka wogóle jest rzeczą nietrudną, w „*Łowcu*“ zaś zupełnie niepotrzebną, bo ostra taka krytyka, zamiast zachęcić, odbiera ochotę do pisania, a i tak tych, co piszą jest bardzo niewielu, nic dziwnego, że w braku oryginałów, Redakcya zmuszona jest zapełniać miejsca tłómaczeniami i za to chyba sami winić się musimy, żeśmy nieskorzy z dostarczaniem lepszego materyału. Z próżnego i Salomon nie naleje.

P. Miziewicz zajął się bezinteresownie i szczerze sprawami „*Łowca*“, mając inne zajęcia i za to wdzięczni mu wszyscy być powinniśmy, a ufamy, że i nadal tego podejmować się będzie ku ogólnemu zadowoleniu.

Św. Hubertowi!

A. Sumiński.

Batiatycze, 1. maja 1902.

Mróz i śnieg, jak w marcu, a to początek maja, smutne widoki gospodarskie, ale pomijam je, bo i nasze myśliwskie nadzieje również nieświetne.

Cietrzewie grają jeszcze piosnkę miłości i czternaście dało za nią życie, choć ranki tak mroźne, iż siedzenia w budce do wielkich przyjemności zaliczać trudno.

Ptactwa błotnego prawie nie ma, mroźna posucha każe im szukać innych żerowisk.

Zające, dość szczęśliwie przebywają wiosenny szał, jakkolwiek znaleziono kilka młodych nieżywych przy włóczeniu koniczu i pszenicy.

Kuropatwy ślicznie przezimowały, obecnie widzi się dużo parek, gdy tak dalej dobrze pójdzie spodziewać się można setek całych tych pożytecznych pod każdym względem kuraków.

Zacięta walka wre ciągle między kłusownikami, dozorcami, no i nami, którzy dzierżawimy polowania gminne. Niech posłuży fakt za przykład.

Oto w Zubowmostach, wsi parcelowanej obecnie przez Bank centralny, z powodu energicznego zakazu polowania, kłusownicy na czele z pisarzem gminnym (karanym kłusownikiem), potrafili skłonić kupujących grunta, by się zrzekli zadatków danych bankowi na pola, a nie dopuścili, by prawa polowania przestrzegane były, strasząc wystrzelaniem psów i t. p., a co dnia znachodzi straż postrzelone kozy, które z lasów hr. Potockiego wychodzą na zdewastowany teren lasowy, Zubowmostów, graniczący w całej rozciągłości z lasami Kamionki. A przyczyna, ta jasna. Żadna kara w stosunku do winy, bo za kradzież kury lub kaczki złodziej dostanie 14 dni i ponosi koszta, a za kłusownictwo prawie bezkarnie wychodzi. Koszta choćby bardzo prymitywnego dozoru, obliczone utrzymanie dozorcy 160 złr. itp. wydatki jak czynsz dzierżawny, nie równają się w przybliżeniu dochodowi ze zwierzyny, dzierżawi się tylko dla tego, by ochronić własną zwierzynę i nie dać przystępu złodziejom do granic dworskich, bo wówczas mordują bezkarnie.

Dużo pisano o ustawie łowieckiej, pokrzywdzono myśliwych, pracujących w urzędach i zawodowo w różnych fachach, broniąc polować w niedzielę i mniejsze święta a pominięto żądania ostrych ustaw przeciw złodziejom, tej pladze, której zniszczenie powinno być zadaniem każdego dobrze myślącego obywatela.

A jednak trochę chęci u sfer decydujących a można dużo zrobić — prawa, jakie mają Czesi, Węgrzy i inni i my powinniśmy mieć, bo co do ponoszenia ciężarów państwa chyba ostatni nie jesteśmy. Smutne — dawniej złodzieje chowali się, dziś grożą otwarcie, ale maj miesiąc nadziei, może i nam lepiej będzie.

Tadeusz Romanowski,
delegat żółkiewski.

Od Redakcyi.

Otrzymujemy od p. Dziubińskiego następujący list z prośbą o umieszczenie:

Wdzięczny jestem Szanownej Redakcyi, że mój artykuł z „*Nowego Słowa*“ raczyła w „*Łowcu*“ umieścić w całości, bo nie potrzebuję szeroko udowadniać, iż wszystkie zarzuty moje pozostały niezbite.

Co więcej, Szanowni członkowie Towarzystwa przecież przeczytawszy artykuł i odpowiedź, obaczą i zrozumią, że na zarzuty skierowane do Redakcyi „*Łowca*“, taż odpowiedziała obroną Towarzystwa łowieckiego, wcale nie, a tylko co najwyżej pośrednio przezemnie atakowanego.

Tych kilka słów wystarczyłoby za replikę, ale skorzystam ze sposobności, by dodać jeszcze kilka wyjaśnień w interesie samej sprawy.

Przedewszystkiem zastrzegam się stanowczo, by jak to Redakcya twierdzi, z mego artykułu wynikać miało, że „widzę gwiazdę śmierci na czole Towarzystwa“. Ze słów: „do czego doszedł organ Towarzystwa „*Łowiec*“, co rzec można podobny jest od dłuższego czasu do ciężko chorego, na którego czole błyszczy już gwiazda śmierci“ nie można przecież tego wyczytać.

Owszem, cały ustęp drugi mego artykułu podnosi i uznaje rozwój Towarzystwa, że zaś jego działalność nie jest przecież obfitą w rezultaty, przypisuję to nie członkom tegoż, nawet nie całemu wydziałowi.

Twierdzenie moje o apatyi oparte jest zatem na prawdzie i krytyka jest nie dlatego, aby była. To zresztą przyznaje sama Szan. Redakcya, tłumacząc tę apatyę we wszystkich Towarzystwach, co choćby było prawdą, wcale nie usprawiedliwia. Rzeczą to zresztą przekonania — ja widzę winę apatyi gdzieindziej, jak to napisałem w słowach: „Gdyby w Towarzystwie poruszano od czasu do czasu tak ważne sprawy, jak sprawa obracania funduszu z kart myśliwskich na cele kultury łowieckiej, jak przestrzeganie ustawy łowieckiej przez władze, jak ochrona zwierzyny w niedzierżawionych terenach, jak wydawnictwo rozumnego podręcznika dla myśliwych i t. p., gdyby Redakcya „*Łowca*“ odnosiła się kiedy niekiedy do znanych łowieckich pisarzy o jakąś monografię, wiersz i t. p.; gdyby stawiała jakieś poważne myśliwskie zagadnienia, wówczas z pewnością ożywiłoby się Towarzystwo i jego organ „*Łowiec*“ nie przedstawiałby się tak, jak się obecnie przedstawia“. Tych zarzutów wcale Redakcya nie odparła, przyznając nadto słuszność zarzutom moim do do formy, (?) treści (?) i korekty „*Łowca*“

Natomiast zarzut propagowania pruskich, do absurdum jak to wykazałem sprowadzonych rzekomych wynalazków, polegające na tłumaczeniach artykułów z Wild und Hund'ów, Weidmannsheilów i t. p.; zarzut uczyniony w chwili, gdy jednomyślny głos Narodu domaga się wyrzucania pism wrogich z polskich lokalów publicznych i zerwania stosunków z prusactwem, pozostawiła Szan. Redakcya bez odpowiedzi, twierdząc nawet z pewną chełpliwością, że na niego odpowiadać nie będzie.

Więc na wszystkie powyżej przezemnie podniesione ważne sprawy łowieckie nie było miejsca w organie naszego Towarzystwa a było go aż nadto dosyć na akademiczne artykuły o prochu, kulach i ładunkach pruskich Kolumbów! Więc taki zarzut na odpowiedź nie zasługuje? Czy ten sposób polemicznej rozprawy między ludźmi poważnymi i w poważnej sprawie jest stosowny, czy nie udowadnia twierdzenia mego artykułu, „że Redakcya nikogo zachęcić nie potrafi ale chcących pisać zraża“, pozostawiam to do ocenienia wszystkim czytelnikom „*Łowca*“, winszując szanownej Redakcyi dalszych dyssertacyi o pruskich wynalazkach, jednak nie w imię zasady Paskalowskiej: „Le génie c' est la perśévérence“.

Chętnie przyznaję, że pisząc słowa wyżej przytoczone nie miałem na myśli materyalnych korzyści w zrażaniu ludzi do pisania w "*Łowcu*“, ale nie tylko utrzymuję mój zarzut, że Redakcya nikogo nie zachęcała do pisania, ale twierdzić mogę, że do pisania zraża, ponieważ, jak to mnie się zdarzyło, zarzuty poważne lekceważącem pomija milczeniem, choć i moje zainteresowanie się i moja krytyka nie wypływała również z pobudek materyalnych.

Toż wyznać muszę, jakkolwiek szczerą miałem ochotę do ofiarowania się na usługi Szan. Redakcyi i objęcia na zjeździe referatu, jakiby mi wyznaczyła, obecnie nie wiem doprawdy, czy mogę to uczynić bez narażenia na nową przykrość i... siebie i Redakcyi.

O tem, że jeden z członków Wydziału „redakcyę sprawuje“ bezpłatnie, przyznaję, nie wiedziałem i gdybym o tem był wiedział, nie byłbym może nic pisał, bo znam dobrze przysłowie o darowanym koniu.

Teraz jeno pozwolę sobie wyrazić zdziwienie, że Wydział Towarzystwa usługi takie darmo przyjmuje! Między ludźmi pracy, świętą winna być zasada, że za pracę trzeba zapłaty, a przecież pracą nie lada jest redagowanie, choćby nie bez zarzutów, dwutygodnika (nie miesięcznika, o czem przyznaję ze skruchą, zapomniałem w mym artykule nadmienić) — w objętości przeszło dwóch arkuszy druku.

Pozostałby mi jeszcze do odparcia ciężki zarzut, że skromnych mych uwag nie uczyniłem na zeszłorocznem walnem zgromadzeniu.

Zarzut byłby zupełnie słuszny, gdyby... ale to sprawa delikatna. Mogę ją wyjaśnić ustnie na tegorocznem walnem zgromadzeniu i z pewnością będę usprawiedliwiony.

Pozwalam sobie złożyć Szan. Redakcyi serdeczne dzięki za udzielenie mi głosu i przepraszam, że zabrałem tak wiele miejsca w tej sprawie po raz... ostatni

We Lwowie, 6. maja 1802.

Leon Gustaw Dziubiński.

Odpowiedzi się zrzekamy.

Redakcya.

Nowa książka z dziedziny łowiectwa.

„*Nad Nilem Niebieskim*“ przez *Jana Sztolcmana*, nakładem „Łowca polskiego“. W wydanem bardzo pięknie pod względem typograficznym dziele opisuje p. Jan Sztolcman wycieczkę hr. Józefa Potockiego w towarzystwie autora nad Niebieski Nil dokonaną. Nie wiedząc, że opis ten wyjdzie w wydaniu książkowym, pozwolił sobie „Łowiec“ oddrukować sprawozdanie z tej wycieczki, umieszczone w roku zeszłym w „Łowcu polskim“ — w skutek czego czytelnicy nasi z opisem tym się zapoznali. Zwracamy jednak uwagę, że opis ten

w książkowem wydaniu został uzupełniony, a oprócz tego zaopatrzony został bardzo zgrabnymi rysunkami *J. Rapackiego* i reprodukcyami z fotografii, zdjętych na na miejscu. Kto posiada „Notatki“ hr. Potockiego z odbytych dawniej podróży, powinien skompletować je obecnie wydanem, pięknem dziełem p. Stolcmana, tem bardziej, że jego cena (6 złr.) jest bardzo przystępna.

St. M.

Kronika.

Strzelba przyszłości. W jednem z pism niemieckich znajdujemy wiadomość o wynalazku, mogącym według zdania autora notatki, łatwo sprowadzić zupełny przewrót w obecnej fabrykacyi broni i dotkliwie zaszkodzić ruchliwemu przemysłowi niemieckiemu, który na polu fabrykacyi broni i środków strzelniczych jedno z pierwszych w świecie zajął stanowisko. Wynalazkiem tym jest „shamgun,“ strzelba skonstruowana przez znaną firmę angielską Jack Pudding et sons (Londyn, W. C. Strand 120), nabijana nitrobenzolem. „Shamgun“ przedstawia się jako strzelba bezkurkowa, podobna ze swojej prostej budowy do innych strzelb angielskich, z tą tylko różnicą, że ma tylko jeden cyngiel. Zamknięcie jest bardzo podobne do zamknięcia iglicówki Teschnera — *toplever* zaopatrzony jest rodzajem excentrycznego kolana. Lufy padają najprzód z góry w zamknięcie, potem posuwają się w prostej linii wstecz, podobnie jak u strzelb Collatowskich. Zamknięcie to jest bardzo silne i trwałe — potrzebne ono jest wobec używania specyalnego bardzo silnego materyału wybuchowego Aby otrzymać większe pole krycia, nosi się firma Puddinga z myślą wiercenia jednej lufy w sposób wprost przeciwny niż dzisiejsze „choke“ — a więc „antichoke“. Ponieważ wiercenie „choke“ doprowadzono już do przesady i zaczęto się przekonywać, że ono jest przyczyną daremnego niszczenia zwierzyny, do której się za daleko strzela, spuszczając się na „choke“, postanowiła firma nadać jednej lufie formę lejka, tak, że np. kaliber 12-ty u wylotu będzie kalibrem 10-tym. Uzyskano w ten sposób bardzo regularny rozdział śrótów, bez ujmy dla siły ich uderzenia, nawet na znaczne odległości. W łożysku znajduje się stożkowa, stalowa rurka, która zawiera płynny materyał wybuchowy (*shampowder*). Przez pociśnięcie cyngla dostaje się pewna ilość płynu do komory z pomocą rozpylacza, który znajduje się w tem mniej więcej miejscu, gdzie przy strzelbach zwykłych umieszczona jest igła. W chwili pociągnięcia cyngla wyskakuje iskra elektryczna z bateryi, która umieszczona jest w kolbie strzelby i sprowadza eksplozyę. Cały proceder przypomina sposób. w jaki benzynowe motory są wprawiane w ruch — odgłos, jaki strzał wydaje, podobny jest do syknięcia — „kopnięcia“ nie czuje się żadnego. Baterya, którą można łatwo wyjąć i inną zastąpić, może dać około 500 iskier — rurka zawiera blisko na 500 strzałów „płynnego prochu“. Eksplozya odbywa się dziesięć razy szybciej, niż przy zapalaniu przez kabzlę — to znaczy, że czas między dotknięciem cyngla a ugodzeniem zwierzyny jest przy tej elektrycznej strzelbie dziesięć razy krótszy niż przy strzelbach dzisiejszych. Materyał wybuchowy, również opatentowany, stanowi „nitrobenzol“ ($c^6 H^5 NO^2$), który pociskowi nadaje szybkość 800 m. na sekundę, a ciśnienie gazów potęguje do 889 atmosfer. Śrubką umieszczoną w odpowiedniem miejscu można każdej chwili regulować do pewnej miary napływ płynu do komory, co jest potrzebnem ze względu na to, że podobne materyały wybuchowe tracą na sile podczas wilgotnej pory i w czasie zimna. Z porządku rzeczy, komora, w której ów płynny materyał wybuchowy eksploduje, jest bardzo małą — jest ona na $1^1/_2$ cm. głęboka i stożkowato w kierunku ku pociskowi obtoczoną. Pocisk, a więc śrót, tworzy osobny przedmiot, gdyż nie łączy się ściśle z „prochem“ Jestto łuska cylindryczna, kalibrowa, z silną przybitką pilśniową, nasyconą tłuszczem. Przybitkę przytrzymuje, podobnie jak w naszych nabojach, zagięcie brzegu łuski. W środku silnej przybitki wystaje kawałek mocnego drutu, który służy do wyciągnięcia naboju, jeżeli nie został wystrzelony. Nie ma tu więc ejektorów, ani innych przyrządów do wydobywania zassanych nabojów, bo ich niepotrzeba. Amunicya waży o dwie trzecie mniej, niż obecnie używana, strzał kosztuje przy kalibrze 12 około 6 groszy. Oczywista rzecz, że szybkość strzałów jest bardzo znaczna. Z powodu łuski, zamkniętej od góry, trzymają się ziarna śrótu razem, wskutek czego firma, strzelby te wyrabiająca, chce jedną lufę robić jako *antichoke*. Strzelby te mają być tanie — firma chętnie podobno udziela licencyi. P. W. z Magdeburga, który o tym nowym wynalazku zdaje sprawę i na którego odpowiedzialność podajemy tę notatkę. używał takiej strzelby podczas polowania na króliki. Obok innych zalet, jakie strzelba ta posiada, skonstatował jeszcze przy tej sposobności i to, że eksplodujący materyał wydaje miły zapach — nitrobenzol bowiem jest używany przy wyrabianiu parfumów — czegoż więc więcej może dusza nowożytnego myśliwego zapragnąć? Dymu nie ma a jest zapach, huku nie ma a jest skutek — jeżeli więc w krótkim czasie nie wynajdzie kto sposobu zabijania zwierzyny elektrycznością, oczywiście bez strzelby i naturalnie bez drutu, gotowi jesteśmy za niedługi czas posługiwać się temi „sykającemi“ strzelbami.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^{1}/_{2}$ ct. od wyrazu).

Szczenięta angielskie Settery (Lawerak) po premiowanych rodzicach bardzo pięknych i doskonałych w polowaniu, do sprzedania po 25 złr. (50 kor.), w maju do oddania. — Zarząd dóbr Kurzany.

Dwa pieski tropowce (Schweisshunde) 9-cio miesięczne czystej rasy, bardzo piękne są do sprzedania. Zarząd lasów Łysiec koło Stanisławowa.

Są na sprzedaż: Jednoroczny Stichelhaar z tresurą pokojową 200 kor., 6-cio miesięczny rasy niemieckiej gładki 140 kor., 5-cio miesięczny Griffon 120 kor. — Zgłoszenia przyjmuje Władysław Rządca, Dobrotwór p. loco.

Mam do zbycia dwa 8 miesięczne legawce rasy angielsko-niemieckiej; ślicznie znaczone nadzwyczaj pojętne i posłuszne, z dobrym wiatrem. W jesieni mogą iść w pierwsze pole, na żądanie wysyłam podobiznę. — Zgłoszenia pod „Legawce“ poste restante Bogumiłowice.

Do sprzedania.

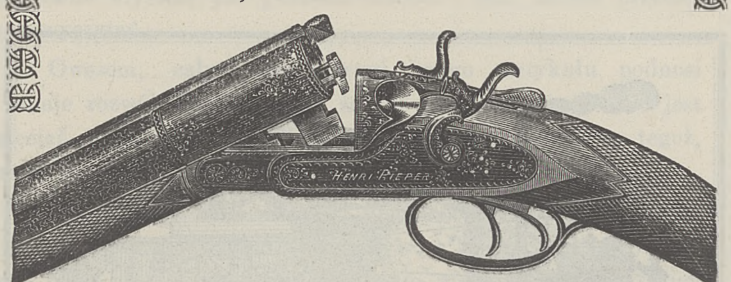
Dwie lankastrówki, do każdej dwie pary luf śrótowych, jedna para luf kaliber 12 Bernard-Damast, druga para kaliber 16 Extra prima Crolle Damast. Zamknięcie potrójne Scotta. Ręczny wyrób Józefa Kinnera c. k. nadwornego dostawcy i najsłynniejszego rusznikarza budapeszteńskiego.

Bliższej wiadomości udzieli **Gustaw Müller, Tarnopol.**

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyncze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

Skład win herbaty i rumu
PIOTRA MIKOLASCHA i Sp.

we Lwowie

poleca w najlepszych gatunkach

herbatę chińską i ceylońską

firmy C. Trau w Wiedniu

C. k. austr.

i ces. japońskiego nadwornego dostawcy

po cenach oryginalnych.

Herbata Congo Nr. 3 . . .	$^{1}/_{2}$ kilo K.	3.—
„ Souchong Nr. 4 . . .	„ „ „	3.—
„ Wysiewki Nr. 2 . . .	„ „ „	2·50
„ „ Nr. 1 . . .	„ „ „	3·50
„ Ningchow wysiewski	„ „ „	4.—
Pecco Congo Nr. 1	„ „ „	5.50
Herbata kwiatowa przednia .	„ „ „	6.—
Sansinsky Nr. 1	„ „ „	7.50
Herbata Melange czarna wybrana dla **Kasyna Narodowego**	„ „ „	9.50
Herbata Moning Nr. 1 najprzedniejsza z nowego zbioru .	„ „ „	9.50

do nabycia w paczkach po $^{1}/_{4}$, $^{1}/_{8}$, $^{1}/_{16}$ Kilo.

Zamówienia od 20 K. franco i opłatnie.



KAPELUSZE FILCOWE, LODENOWE, SŁOMKOWE i PŁÓCIENNE ORAZ CZAPKI WSZELKIEGO RODZAJU SPORTOWE DO POLOWANIA

POLECA

Kazimierz Bielczyk

LWÓW, Halicka l. 21. Cennik ilustrowany na żądanie franco.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**